

Głos w sprawie „dół” — „góra”

Po raz pierwszy w Polsce plan pięcioletni powstać ma w sposób zupełnie nowy, na zasadzie określonej przez publicystów skrótem „od dołu do góry” albo „góra — dół — góra”.

Ten nowy sposób planowania został wyczerpująco scharakteryzowany w dokumentach II Plenum KC PZPR oraz w licznych publikacjach prasowych i w instrukcjach szczegółowych, które docierają zazwyczaj w obfitości do owego „dołu”. Nie mamy więc zamiaru zajmować się nową techniką planowania. Jednakże sprawy tej nie można traktować jako mniej lub bardziej udanej innowacji natury organizacyjnej i ekonomicznej.

Krok demokracji socjalistycznej

Nowy system przygotowywania planu pięcioletniego jest przede wszystkim zabiegiem społecznym, nie wolnym bynajmniej od implikacji ideologicznych i politycznych. Jest to jeden z najpoważniejszych kroków w procesie rozwojowym demokracji socjalistycznej, jaki został dokonany w Polsce Ludowej.

Poprzednim takim krokiem było wprowadzenie systemu rad robotniczych i konferencji samorządu robotniczego w przedsiębiorstwach. Jednakże to pociągnięcie stworzyło właściwie tylko ramy instytucjonalne dla inicjatywy załogi. Powstałe w ten sposób możliwości były — jak wiadomo — wykorzystywane w różny sposób. Nie zawsze samorządy umiały znaleźć swoje miejsce w życiu przedsiębiorstw. Niekiedy napaływały one na opór „technokratów”, którzy nie widzieli bynajmniej potrzeby dzielenia z załogami trosk o plany i ruch przedsiębiorstwa.

Przed pięciu laty dokonano próby wciągnięcia przedsiębiorstw, ich administracji i załóg, w proces planowania. Zwrócono się wówczas o przygotowanie tzw. planów alternatywnych.

Inicjatywa ta przyniosła ograniczone lub nawet nienajlepsze wyniki. W sumie plany alternatywne wywarły raczej niewielki i chyba marginesowy wpływ na ostateczny kształt obecnej 5-latk. Pole manewru dla przedsiębiorstw było niewielkie, bowiem alternatywa mogła powstać na bardzo zaawansowanym etapie planowania państwowego, gdy podstawowe bilanse zostały już uprzednio dokonane. Większą szansę mogły więc mieć tylko jakieś rewelacyjne propozycje zmian.

Te nienajlepsze doświadczenia stworzyły dość swoisty klimat wokół nowego systemu planowania „góra — dół — góra”. Pojawiają się bowiem tendencje do „odfajkowania” sprawy w przedsiębiorstwach (rozmiar tych tendencji udokumentował solidnie Wiesław Szyndler-Głowacki na łamach „Życia Gospodarczego”). Tendencje te opierają się na opiniach tych działaczy gospodarczych i społecznych, którzy w jakiś sposób — w każdym razie we własnej ocenie — „nacieli się” przed laty, biorąc serio zadanie opracowania planu alternatywnego, nie notując jednak w związku z tym sukcesów (zdarzały się zresztą i takie skrajne wypadki, że plan alternatywny nie był właściwie w ogóle brany pod uwagę).

Oczywiście, nie ma podstaw do twierdzenia, że tendencja do „odfajkowania” planu przedsiębiorstwa w nowym systemie jest dominująca. Można jednak zaryzykować hipotezę, że zasadnicza reforma planowania dokonana na II Plenum KC PZPR nie jest należycie doceniana zarówno w kregach bezpośrednio zainteresowanych jak i szerszej opinii społecznej.

Wydaje się tymczasem, że mamy tu do czynienia z czymś jakościowo nowym i torującym drogę następnym krokiem w rozwoju demokracji socjalistycznej w Polsce. Paradoks polega na tym, że właśnie od zrozumienia tej prawdy przez bardzo szerokie koła społeczne, a przede wszystkim przez załogi i administrację gospodarczą, zależy losy reformy i rola jaka odegra ona w rzeczywistości. Innymi słowy, bagatelizowanie sprawy przez scentyków może rzeczywiście doprowadzić do tego, że... argumenty scentyków okazały się uzasadnione. „Odfajkowane” plany z natury rzeczy nie będą bowiem mogły być należycie potraktowane i uwzględnione przez „górną”, co stwo-

rzy pozór, że właśnie sceptycy mieli rację.

Trzeba podkreślić, że nowy system ma mało wspólnego z nie najlepiej wspomnianymi planami alternatywnymi. Owa akcja sprzed pięciu lat należałaby raczej traktować jako pewną próbę. Wprowadzany obecnie w życie system planowania jest już sam przez się dowodem, że „góra” wyciągnęła wnioski z tej próby i pragnie obecnie zasadniczych zmian w kierunku uruchomienia wszystkich ogniw gospodarczych i załóg.

Kim są właściciele mienia?

Znaczenie tej reformy i perspektywa, ku której zdaje się ona prowadzić, mogą być należycie ocenione w pewnym bardziej ogólnym kontekście, określonym przez takie czynniki jak swoiste cechy rozwoju demokracji socjalistycznej w Polsce

Prognozy polskie

oraz sens procesów decentralizacyjnych w gospodarce narodowej.

Jak wiadomo, postulaty działaczy gospodarczych, a zwłaszcza dyrektorów przedsiębiorstw, sprowadzały się zazwyczaj do decentralizacji operatywnego zarządu. Postulaty takie były na ogół słuszne, gdyż prowadziły i prowadzą do pewnego uelastycznienia nazbyt sztywnego systemu, który ukształtował się w pierwszej fazie przyspieszonej industrializacji kraju i nie odpowiadał potrzebom bardziej złożonym. Przy tej okazji ujawniły się jednak również tendencje technokratyczne.

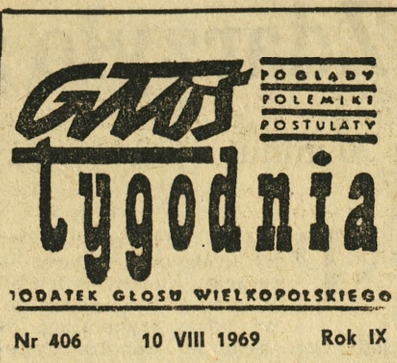
Procesy decentralizacyjne w gospodarce narodowej nie powinny być bowiem traktowane jako zabiegi ekonomiczno-organizacyjne, których jedynym celem jest zwiększenie uprawnień dyrektorów przedsiębiorstw i innych kierowniczych działaczy gospodarczych. Podobnie jak w radach narodowych, również w gospodarce rzeczywistej sens procesów decentralizacyjnych polega na wciągnięciu szerokich rzesz ludzi pracy do rządzenia i zarządzania, na uruchomieniu ich inicjatywy obywatelskiej i pracowniczej poprzez tworzenie takich warunków, w których mogą oni rzeczywiście czuć się gospodarzami swego kraju, regionu, zakładu.

Technokraci natomiast uważają, że decentralizacja — to oddawanie coraz większej władzy w ich ręce. Przez władzę rozumieją właśnie zarząd operatywny.

Dr Michał Białokoz, lekarz medycyny z Poznania uczestniczył w kampanii wrześniowej 1939 roku jako obrońca Warszawy. Od wybuchu Powstania Warszawskiego, to znaczy od 1 sierpnia 1944 roku, był komendantem szpitala przeciwgruźliczego przy ul. Żurawiej 31 i komendantem punktu opatrunkowego przy ul. Wilczej 29a. Po upadku Powstania został szefem ewakuacji szpitali warszawskich.

Dzisiaj drukujemy trzeci fragment wspomnień dr M. Białokoz. Sądźmy, że zainteresują one naszych Czytelników bowiem dotyczą mało znanych szczegółów Powstania, faktów oglądanych oczyma lekarza. Następny fragment za tydzień.

Przechodząc codziennie szlakiem piwniczym, mieliśmy okazję obserwowania życia podziemnego — tej drugiej „piwnicznej” Warszawy. Były tam zagęszczone koczowiska całych rodzin, prowizoryczne kuchnie. Było rozwarstwienie społeczne. U jednych głód, u innych za pasy żywności, egoistycznie magazynowane i strzeżone przez „arystokrację”. Kwitł handel przeważnie zamiatany, w którym wartość produktów spożywczych wrażała w postępie geometrycznym w miarę przedłużania się Powstania. Na przykład w ostatnich dniach przed kapitulacją — jak mi opowiadano — za kostkę masła ofiarowywano złoty damski zegarek z bransoletką firmy „Schafhausen”.



Istota zagadnienia polega natomiast na tym, aby do decyzji w sprawie rozwoju gospodarczego wciągnąć możliwie jak najszerszy ogół pracowników, którzy są właścicielami mienia ogólnonarodowego. Jest to jedno z podstawowych wymagań demokracji socjalistycznej.

Rozwiązanie wysunięte przez II Plenum KC PZPR i powiązane ściśle z całokształtem przemian lat ostatnich wychodzi naprzeciw omawianej potrzebie. Jest to rozwiązanie nowatorskie i oryginalne. Wychodzi ono poza ramy decentralizacji traktowanej jako decentralizacja operatywnego zarządu gospodarką. Jednocześnie jednak nie pociąga za sobą ograniczenia roli planowania, natomiast nadaje planowaniu charakter procesu społecznego.

Jest charakterystyczne, że pewne opory wobec nowego systemu pochodzą właśnie od administracji gospodarczej, która tradycyjnie domagała się decentralizacji, ale... nie takiej. Tutaj bowiem nie chodzi już o rozszerzenie uprawnień dyrektorskich, a więc o zwiększenie władzy nad ludźmi i rzeczami, lecz o nową odpowiedzialność całych kolektywów pracowniczych.

Droga ta jest niewątpliwie trudna, bo wymaga zarówno rozwoju świadomości jak i ukształtowania się pewnych nowych umiejętności, wreszcie nowych nawyków. Istotne jest jednak wytyczenie nowej perspektywy.



...Stopień adaptacji samy polnej do życia w polu jest bardzo wysoki...

Michał Białokoz

Wspomnienia lekarza z Powstania ⁽³⁾

W piwnicach było sporo zdrowych, młodych i silnych ludzi, którzy nie mieli żadnego zatrudnienia. Stosunek mieszkańców piwnic do Powstania był raczej negatywny. Ludzie ci uważali, że nie oni je wywołali, że koncepcja była w założeniu nonsensem i że cierpią za cudzą głupotę.

Nieaktywność wielu osób trzeba sobie wytłumaczyć także tym, że do prawdy nie było dla nich broni, nie było konkretnego zajęcia. Ponadto posunięcia niektórych dowódców pododdziałów AK, polegające na wyłapywaniu i pędzeniu do ataku bezbronnym ludzi („broń sobie zdobędziecie!”), lub też zmuszanie ich do budowania, czy poprawiania barykad pod ostrzałem nieprzyjaciela, były być może aktem rozpacz, który uważali za konieczny, ale też był lekomyślny i wręcz szkodliwy politycznie. Wywoływały lapidarne komentarze suto kraszone karczemną „laciną”, zjadliwie uwagi i niepopularność.

Jeśli chodzi o przekrój społeczny — to najbardziej po obywatelsku się chowali się przedstawiciele proletariatu miejskiego. Tu było widać współczucie i serdeczność wobec uciekinierów z innych dzielnic, dzielenie się z nimi skromnymi zapasami żywności, gotowość pomocy w transporcie rannych i chorych, bez-

10-lecie Stacji Badawczej PZŁ w Czempiniu

Dość doświadczalne gospodarstwo łowieckie w okolicach Czempinia zajmuje niebagatelną powierzchnię — 15 tysięcy hektarów. Dwie trzecie z tego leży w Kościańskim, reszta — w Sremskim. Wiele tu zwierzyny łownej: zajęcy, kurapatw, saren. Jednym zdaniem — prawdziwy raj dla myśliwych. Kiedy przed dziesięciu laty powstała myśl utworzenia ośrodka badawczego przy Polskim Związku Łowieckim, wybór padł na gospodarstwo czempinińskie, gdzie w owym czasie hodowano zwierzynę trochę dla celów eksportowych, trochę zaś — ku zaspokojeniu miejscowych łowieckich potrzeb. Inicjatywa Wojewódzkiego Oddziału PZŁ w Poznaniu w krótkim czasie zyskała poparcie władz — Wojewódzkiej Rady Narodowej, Okręgowego Zarządu Lasów i odpowiednich instancji powiatu kościańskiego. Duszą tych pierwszych, pionierskich poczynań był znawca sztuki łowieckiej i hodowlanej — Włodzimierz Jezierski, dziś pracownik Instytutu Ekologii Polskiej Akademii Nauk w Warszawie.

Jedna z trzech w Europie

Stacja Badawcza PZŁ w Czempiniu jest jedyną tego typu placówką w Polsce. Wprawdzie istnieją liczne ośrodki w kraju, które zajmują się doświadczeniami łowieckimi lecz

Jerzy Zielonka

Na tropach polnej zwierzyny

interesują się tymi sprawami jedynie w wąskim zakresie wyznaczonym daleko posuniętą specjalizacją. Tak np. Katedra Gospodarstwa Łowieckiego przy Wyższej Szkole Rolniczej w Poznaniu zajmuje się szeregiem zagadnień łowieckich, kładąc jednakże największy nacisk na dydaktykę, co wynika ze szkoleniowego charakteru samej placówki. Zakłady doświadczalne resortu leśnictwa ustawiają swą pracę pod kierunkiem badań szkół wyrządzanych przez zwierzynę gospodarce leśnej, starając się rozwiązać tajemnicę konfliktu, jaki od lat toczy się w lasach; konfliktu las przeciw zwierzynie, zwierzyna przeciw lasowi.

Podobny konflikt występuje także w polu. Sytuację ciągłej walki stwarza tutaj postępujący rozwój mechanizacji i chemiczacji rolnictwa. Zwierzęta polne giną strute środkami chemicznymi i pokiereszowane

sprzętem rolniczym. W tym konflikcie są one na z góry przegranej pozycji. Czempinińska stacja — jako jedyna w kraju — zajmuje się badaniem przebiegu tego konfliktu i dociekaniami możliwości jego złagodzenia.

Posiadanie własnego zakładu doświadczalnego, zajmującego się gospodarką łowiecką z naukowego punktu widzenia jest miarą rangi, jaką ma związek łowiecki. Jest to jednocześnie wyraz troski, jaką państwo darzy sprawy myśliwych. Na własne stacje badawcze stać jedynie najsilniejsze i najbogatsze związki łowieckie w Europie. Stacja czempinińska jest jedną z zaledwie trzech tego typu placówek w tej części świata obok ośrodka duńskiego — Game Biology Station w Kolo — Ronde oraz zachodniemieckiego — Forschungsstelle fuer Jagdkunde in Beul koło Bonn.

Zajac na wymarcu?

Jednym z kierunków badań czempinińskiego ośrodka jest analiza struktury rozmieszczenia przestrzennego i rozwoju ilościowego zająca, z uwzględnieniem szkodliwego wpływu wywieranego nań przez środki chemiczne i metody upraw stosowane w rolnictwie. Problemów jest wiele: jaka jest ilość zająca na terenie ośrodka, jak je policzyć, jak u-

stać przyrost naturalny, jak oszacować stan zająca na przyszłość?

Aby udzielić trafnych odpowiedzi na pytania trzeba niejednokrotnie cofać się do spraw elementarnych i — wydawałoby się — najlepiej opracowanych. I wtedy okazuje się, że niby znany, zwykły szarak kryje przed naukowcami wiele tajemnic. Nie zdołano na przykład jeszcze dokładnie ustalić, jak długo trwa ciąża u zającej matki, choć powszechne mniemanie wskazuje, że okres ten trwa około 30 dni.

Czempinińscy zootechnicy odnotowali na swym koncie poważne osiągnięcia badawcze, gromadząc materiał doświadczalny i publikując wyniki badań na łamach czasopism fachowych.

Z odpowiednio opracowywanych, wieloletnich bilansów prowadzonych przez Stację w Czempiniu wynika, że jesteśmy świadkami ilościowego regresu zająca w Wielkopolsce. Straty na skutek działania warunków atmosferycznych, środków chemicznych używanych przez rolnictwo i naturalnego ubytku prawie całkowicie pożerają nowy przyrost naturalny. Zdaje się, że zając nie wytrzyma sytuacji konfliktowej i przegra zaciekle pojedynek z cywilizacją. Przegrzyna go zresztą — i to wyraźnie — już obecnie.

Sredni wiek „czempinińskiego” zająca wynosi półtora roku. Są wprawdzie wyjątki od tej nieco smutnej reguły. Kierownik Stacji dr Zyg-

Dokończenie na str. 2



...Cała służba zdrowia do ostatniego dnia Powstania trwała dzielnie na posterunku poczynszy od Szefa Służby Dzielnic Śródmieście, a skończywszy na salowej i sanitariuszu...

Na tropach polnej zwierzyny

Dokończenie ze str. 1

munt Pielowski żartobliwie informuje, że 10-lecie jest podwójnym jubileuszem. Z jednej strony dla pracowników badawczych, z drugiej zaś — dla zająca-szaraka, którego metryka wskazuje, że przeżył na terenie gospodarstwa równe dziesięciolecie.

Kuropatwa „woła” o ratunek

Ciekawe rezultaty osiągnięto w doświadczeniach z kuropatwą. Naukowcy z ośrodka czempinińskiego są zwolennikami rozpowszechnienia i introdukcji tego ptaka w całym kraju. Tymczasem z roku na rok maleje liczba kuropatw na wielkopolskich polach i miedzach. Ptak ten — szczególnie wrażliwy na śniegi i gradobicia, bardzo uczulony na działanie preparatów chemicznych — ginie masowo.

W Czempiniu podjęto prace zmierzające do uratowania kuropatwy dla polskiego łowiectwa. Zdecydowano się na eksperyment. Rok po roku Stacja skupuje średnio 1000 jaj kuropatw ze skoszonych pól i tak, płacąc dostawcom po 2 zł za sztukę, skupione jaja wędrują do inkubatorów Kuropatwa — jak się okazuje — daje się łatwo wychować. Okres przełomowy nadchodzi dopiero po 2 tygodniach od wylęgu. Wiele młodych kuropatw ginie wtedy, nie potrafiąc przestawić się z żywienia białkiem zwierzęcym na roślinne. A to właśnie przestawienie jest warunkiem wypuszczenia kuropatwy na wolność w przeciwnym wypadku wypuszczona kuropatwa ginie z głodu.

Wyniki badań czempinińskich nad możliwością reprodukcji kuropatwy wykazały, że w przeciwieństwie do bażanta, ptak ten doskonale aklimatyzuje się w środowisku, w które zostaje wpuszczony po odchowcie i wchodzi — jak to się zwykło mówić — w przyrodę.

Narodziny sarny polnej

Obecne lata są okresem silnego regresu łownej zwierzyny polnej. Niektóre gatunki nie wytrzymały naporu cywilizacji i zmian mikroklimatycznych, i już nie chętnie zdoła ich uratować dla łowiectwa. W grupie tej znalazły się m. in. guszcze i ciżtrzewie. Tym bardziej zastanawia zjawisko wychodzenia sarny z lasu w pole.

W województwach zachodnich — wrocławskim, zielonogórskim, opolskim, no i oczywiście — poznańskim, pojawił się nowy ekotyp — sarna polna, który — jak dobrze pójdzi — może za 100 lub 200 lat — wyodrębni się w nowy gatunek, dostarcza jąc kolejnego dowodu słuszności darwinowskiej teorii rozwoju.

Stopień adaptacji sarny leśnej do życia w polu jest bardzo wysoki. Mówiąc o nowym ekotypie, mamy na myśli sarnę większą od leśnej, o wydłużonych kościach łopatkowych, szybciej biegającą i pokonywującą duże odległości. Sarna ta przestawia się na żywność polną, rezygnując z gałązek i krzewin na rzecz roślinności trawiastej; nabrała nawyku zbiorowego życia tak charakterystycznego dla zwierzyny lasostopów. Jeśli do tego dodać, że sarna polna oznacza się kolosalną odpornością na środki chemiczne używane w rolnictwie, to jesteśmy o krok od stwierdzenia, że jest ona zwierzęciem przyszłości polskich pól.

Ludzie Stacji

Jubileusz 10-lecia Stacji Badawczej Polskiego Związku Łowieckiego w Czempiniu stwarza dogodną okazję do przedstawienia ludzi, którzy z dala od centralnych instytucji i urzędów, w odległym o kilkanaście kilometrów od Kościana ośrodku doświadczałym, wśród wielkopolskich pól, podjęli pracę dla dobra go spodarki łowieckiej.

Stacja zatrudnia 18 osób, w tym 3 pracowników naukowych i 7 uzbrojonych strażników, którzy czuwają by żaden drażniak nie przeszkodził doświadczeniom. Badania prowadzi: inż. Adam Chlewicki specjalista od kuropatwy i bażanta oraz mgr Jan Kałuziński — zajmujący się sarną polną.

Dyrektor placówki dr Zygmunt Pielowski zwany przez kościanaków „ostatnim sokolnikiem Rzeczypospolitej” — z uwagi na swe uboczne zainteresowania, mówi o sobie:

„Do Czempinia przyszedłem przed 5 laty. Doświadczałem tematyka łowiecka interesowała mnie już od dawna. Tutaj jednak ujrzałem zupełnie inny obraz badanych przeze mnie uprzednio problemów. To już nie był widok z okna budynku Instytutu Ekologii Polskiej Akademii Nauk z Nowego Świata w Warszawie. W praktyce tutaj w Stacji problemy naukowe wydają się o wiele trudniejsze ale ich rozwiązanie daje wiele prawdziwego zadowolenia...”

JERZY ZIELONKA

Zdarzyło się u progu XX wieku

30 minut z jedynym żyjącym współzałożycielem „Zielonego Balonika”

Przed 65 laty powstał słynny krakowski kabaret literacki „Zielony Balonik”. Waszemu korespondentowi udało się dotrzeć do jednego z żyjących współzałożycieli kabaretu, którym jest rzeźbiarz (Grand Prix w Paryżu w 1937 r.), malarz i scenograf, 81-letni Stanisław Szeniawa-Rzecki. Odwiedziłem artystę w jego przytulnym mieszkaniu w warszawskiej Starej Wsi, w którym zamieszkał przed 50 laty. Pan Rzecki siwy niewysoki mężczyzna zdradza dużą żywotność i doskonałą pamięć.

— Jak doszło do założenia „Zielonego Balonika”? — powtarza mi to pytanie p. Rzecki. — Zaczne od tego jak powstała nazwa kabaretu. Pewnego dnia w lecie 1905 r. spotkałem na krakowskich Plantach przyjaciela, późniejszego malarza Stanisława Kuczborskiego, siostrzeńca słynnych mistrzów pedzła braci Giermskich w towarzystwie dramaturga Jana Augusta Kisielewskiego. U przynajmniej sprzedawcy kupiliśmy trzy zielone baloniki i umocowawszy je w dziurkach od klapy wkroczyliśmy do skromnej kawiarenki Michałika na ulicy Floriańskiej.

— Zielone baloniki zostały oczywiście zauważone...

— Tak. Właścicielowi tak przypadło do gustu, że posłał kelnera na Planty, aby zakupił jeszcze kilka dla ozdoby sali. Tymczasem nasza trójka proponowała Michałikowi, aby kawiarence nadać nazwę „Zielony Balonik”. I na tym miast wysunęliśmy inną propozycję: niech Michałik postara się o pianino, a my zaaranżujemy taniec, śpiew — słowem zabawę. I to był właśnie załazek słynnego przybytku kabaretowego, przez który miała się przewinać plejada znanych mitych twórców Młodej Polski.

— Jak wyglądały początki?

— Zabawa polegała na improwizacji. Aranżowali ją członkowie krakowskiej bohemy zyskując poklask gości. Michałik notował coraz większe obroty i zyski. Z czasem zabawa przybrała formę spektakli kabaretowych w których zabłysnął teks

tami m. in. Tadeusz Żeleński piszący pod pseudonimem Boy. Specjalnymi widowiskami były szopki.

— Mogłoby pan przypomnieć nazwiska bywalców „Zielonego Balonika”?

— Byli to przede wszystkim znakomici malarze, jak Chelmoński, Mehofer, Fałat, Axentowicz, Weiss. Odwiedzali kawiarnię na Floriańskiej także Reymont i Żeromski.

— I chyba Wyspiański...

— Tak. Wyspiański siadywał zwykłe samotnie przy małym stoliku w pobliżu wejścia a tyłem do sali, która jednak uważnie obserwował w... lustrze.

— O ile wiem, studiował pan u Wyspiańskiego.

— Tak. Na wydziale sztuki dekoracyjnej w krakowskiej ASP. Wspomnę przy okazji, że później kilkakrotnie rysowałem Wyspiańskiego. Także zaraz po śmierci, gdy trumna z jego zwłokami wystawiona w Kościele Mariackim była przez krótki czas otwarta.

— Jaki był Wyspiański w życiu codziennym?

— Spokojny, skupiony, zamknięty w sobie. Jednocześnie jego niezwykła osobowość odczuwała się na każdym kroku — zdawała się przytaczać ludzi którzy się z nim zetknęli.

— Wróćmy jeszcze do „Zielonego Balonika”. Jak wyglądał słynny lokal w swych początkach?

— Była to mała salka na 40—50 osób o ceglanej podłodze. Oświe-

ślała ją lampa gazowa o dwu płomieniach. Stoły były blaszane z marmurowymi blatami. Później Michałik przerobił kuchnię na drugą salkę, a Frycz zaprojektował nowe meble. Z czasem ustawiono małą estradę, z której witał gości (często złośliwie) odziany we frak Stanisław Sierosławski, korektor z redakcji „Czasu” i gdzie śpiewał szanowny krytyk i poeta Teofil Trzcinski, późniejszy dyrektor teatru im. Słowackiego. Duszą organizacji „Zielonego Balonika” był brat Boy’a, Edward Żeleński, z zawodu urzędnik.

— A pański wkład do „Zielonego Balonika”?

— Robiłem rysunki, w tym sporo karykatur, które ozdobiły ściany Michałikowej kawiarni, wydawałem również „Teke Melpomeny”, której postacie miały bliskie związki z „Zielonym Balonikiem”. Nb., moje rysunki do dzisiaj zdobią ściany kawiarni Michałika. Przyznaję, że Jan Michałik rozumiał potrzeby ludzi sztuki. Długi stół przy którym siadywali członkowie bohemy miał wiele szuflad, a w każdej z nich czekały na twórcę ołówki, farby, pedzle i papier. Gdy wena i ochota dopisały można było tworzyć przy pół czarnej.

Rozmawiał:

ZBIGNIEW K. ROGOWSKI

Wspomnienia lekarza z Powstania

Dokończenie ze str. 1

ciwnie mieli pretensje do tego, żeby wszyscy wszystko im świadczyli i to w pierwszej kolejności. Te niestety nie uzasadnione pretensje nie były jednak przez nikogo uwzględniane.

W połowie września, w przejściu piwnicznym spotkałem lekarza — byłego dygnitarza. Poznałem go. Był załamany psychicznie. Narzekał na wszystko i wszystkich i prosił mnie o żywność. Wyznaczyłem mu spotkanie następnego dnia w tym samym miejscu. Przyniosłem to, co sami jedliśmy — duży kawał chleba. Odwrócił się pogardliwie, nie przyjął. „Chleb to i ja mam — powiedział”. — Myślałem, że będzie coś lepszego”. Przeprosiłem go, że niczego innego nie mogę mu dać. Z rozmowy nie dowiedziałem się, mimo pytań, czy i gdzie pełni jakiegokolwiek funkcję lekarską. Sądzę, że nie robił nic. W gwarze nazimennej Warszawy ówczesnej należałoby go nazwać: „piwniczny cykorianin”.

Byli także grupy spekulantów — typy występujące zawsze w takich okazjach. Ludzie ci nie odbiegali swoimi cechami od wszystkich tych, których od wieków opisywała historia i literatura. Typowe wszy społeczne.

Byli też ludzie zrezygnowani, przyjmujący beznamiętnie rozgrywane się zdarzenia, oczekujący niecierpliwie ich końca, bez względu na to jaki będzie ten koniec.

Cały czas oczywiście opisywałem „ludzi piwnic” i tylko ich charakterystykę przedstawiałem.

Być może i wśród arystokracji „piwnicznej” byli ludzie pozytywni, jednak myślimy takich nie spotkali w swoich wędrówkach, a przecież nawet konsultowaliśmy chorych w piwnicach nie należących do naszej trasy i dobrze znaliśmy piwnice najbliższych kamienic. Po prostu byliśmy dla nich „domowymi lekarzami” i życie ich było dla nas tak znane, jakby wyłożone na patelni.

Wracając do dziejów szpitala przy ul. Żurawiej 31, chciałoby się podkreślić bardzo życzliwy stosunek mieszkańców kamienicy do naszej placówki. Nie raził ich charakter epidemiologiczny szpitala. Wydaje się, że oprócz postawy społecznej, byli zadowoleni z faktu posiadania w swoim domu stałej opieki lekarskiej i pielęgniarskiej.

Przecież dyżur szpitala trwał 24 godziny na dobę. Wieczorem i w nocy był lekarz dyżurny, pielęgniarka dyżurna salowa dyżurna i 2 noszowi dyżurni. W dzień od rana do wieczora

szpital urzędował normalnie, w pełnym składzie osobowym.

Mieszkańcy domu częściowo posuwaliby się z przyległych mieszkań do piwnicy dla bezpieczeństwa, a częściowo przenieśli się do innych domów do rodzin ze względów gospodarczych. W ten sposób dali możliwość poszerzenia się szpitalowi.

W drugiej połowie września szpital liczył około 120 łóżek. Coraz bardziej zwiększała się liczba personelu fizycznego. Współpracowałem już wtedy ściśle z szefem sanitarnym doc. Przemysławem. Chodząc wspólnie po dzielnicy w celu wizytowania szpitali, nieraz trafialiśmy na chwile szczególnie już nasilonego obstrzału. Wtedy zatrzymywaliśmy się aby przejechać w bramie jakiegoś domu, czy za załomem ruiny. Jeden z nas prawie zawsze „usprawiedliwiał” żartem nasze postępowanie powtarzając przysłowie rosyjskie, „pugannaja warona i kusta baitsa” (straszona wrona boi się nawet krzaka). Śmieliśmy się przy tym.

Tymczasem nad dzielnicą rozpełtało się piekło. Niemcy skierowali bardzo duże siły ogniowe. Brakło wody, światła, żywności. Nastroje przygnębienia ogarniały coraz to szersze masy, biernych z konieczności, mieszkańców.

Przybywali ludzie z innych dzielnic, w dużej części chorzy, głodni, spragnieni, brudni. Zaczęły występować wszawica i świerzby. Coraz częściej notowano zachorowania na krwawą biegunkę. Stwierdzono przypadki duru brzusznego. Obawiano się duru plamistego. Śmiertelność wśród dzieci wzrosła. Zagęszczenie ludności na terenie Warszawa — Śródmieście doszło do niepokojących rozmiarów.

Były to ostatnie dni Powstania. Sytuacja służby zdrowia na terenie Warszawa — Śródmieście była coraz cięższa, ciągły napływ rannych, przepełnione szpitale, braki leków, zapasy materiałów opatrunkowych na wyczerpaniu i przemęczenie personelu. Cała służba zdrowia do ostatniego dnia Powstania trwała dzielnie na posterunku począwszy od Szefa Służby Zdrowia dzielnicy Śródmieście, a skończywszy na salowej i sanitariuszu.

W tym okresie zostali przedstawieni do odznaczeń: dr Kamińska i dr Apolonia Karaś-Brzozowska (Złoty Krzyż Zasługi z Mieczami), dr Mikolaj Kaszyn i dr Michał Białokoz (Krzyż Walecznych).

Polski Czerwony Krzyż przygotowywał już koncepcję planu postępowania służby zdrowia na wypadek kapitulacji.

MICHAŁ BIAŁOKOZ

Przeglądamy Prasę

ZBRODNIARZ WOJENNY W BISKUPICH FIOLETACH

O znanym i niewątpliwym przestępcy wojennym, który w Niemieckiej Republice Federalnej został biskupem katolickim, na łamach „Prawa i Życia” pisze Tadeusz Cyprian.

Kiedy 14 września 1968 r. Mateusz Defregger otrzymał sakrę biskupią — od 13 już miesięcy trwały dochodzenia prowadzone przez prokuratora z Frankfurta, których obiektem był właśnie nowy biskup, a tematem udział w masowym wymordowaniu mieszkańców włoskiej wsi Filletto di Camarda, oddalonej o 100 km od Watykanu.

Przypominając ten fakt, autor artykułu stwierdza, że Defregger bynajmniej nie zaprzecza, iż kierował w 1944 r. akcją, w której z rąk Niemców zginęło 17 mieszkańców tej wsi. Żyjąc zresztą także świadomie tego mordu, jak np. Bruno Michaelis, ordynans adiutanta Defreggera, wystawiający dzisiejszemu monachijskiemu biskupowi dobre świadectwo, jeśli chodzi o jego stosunek do hitlerowców i do ludności włoskiej; ale co do masakry w Filletto — Michaelis zeznaje, że Defregger był bardzo wzburzony faktem zabicia jednego niemieckiego żołnierza (a nie 4 jak twierdzi Defregger) przez partyzantów i dążył do represji w postaci egzekucji, po której koledzy robili mu wyrzuty, że zdecydował się na nią tuż przed poddaniem się jego jednostki Amerykanom.

„Co jednak jest najbardziej zdumiewające w tej całej sprawie — pisze Tadeusz Cyprian — to nie fakt, że były przestępca wojenny został księdzem, lecz to, że został nim — a nawet następnie został biskupem — mimo że przeszedł jego była znana jego przełożonym kościelnym (...)

Znane są z historii wypadki, gdy wielcy zbrodniarze ukorzyli się wobec sprawiedliwości, zmasali swą winę ciężkim i pełnym poświęcenia życiem i znaleźli się w szeregu duchownych o wysokich zaletach moralnych.

Ale ta droga była dla nich niełatwa, wymagała ogromnych wyrzeczeń i upokorzeń, wymagała oczyszczenia moralnego i użycia skądinąd przebaczenia wszystkich skrzywdzonych.

Tak nie było w przypadku Defreggera. Niezależnie od tego, czy na skutek rozgłosu jaki uzyskała jego sprawa, zarówno władze duchowne, jak i świeckie zareagują odpowiednio czy też nie, fakt powołania zbrodniarza wojennego na biskupa nie da się wymazać z historii, nie przyczyni się do utrzymania zaufania do duchowieństwa. Bo jakim świadnikiem był i jest ksiądz Defregger? Jakim sędzią cudzych grzechów? I jak wierzący katolicy ma ustosunkować się do kardynała, który z pełną świadomością powołuje na stanowiska kapłańskie ludzi takich jak Defregger?

Brak jakichkolwiek danych, że władze duchowne nie wiedziały o przeszłości Defreggera — wszak miał za sobą dochodzenia prokuratorskie ułożone z powodu przedawnienia, były akta tej sprawy i trudno przypuszczać, by nie nie wiedzieli o przeszłości byłego kapłana Wehrmachtu, gdy udzielano mu sakry biskupiej.

Trudno przewidzieć jaki obrót weźmie ta sprawa, ale w każdym razie jej dotychczasowy przebieg — pisze T. Cyprian — jest dla zwykłego człowieka wręcz niepojęty. Nawet dla nas, Polaków przyzwyczajonych do fantastycznych karier zbrodniarzy wojennych w Niemieckiej Republice Federalnej.”

JAK POLUBIĆ CELNIKA

Jednym, mało zresztą poruszanym, z tematów wakacyjno-turystycznych jest praca celników. Przybliżyć tę pracę społeczeństwu postanowił Jerzy Laniewski, który w „Walcie Młodych” zdaje sprawę ze swego pobytu w Urzędzie Celnym w Cieszyźnie. Ciekawy to raport, składający do refleksji. Sporo w nim przykładów, wartych upowszechnienia i zapamiętania.

Np. o studencie prawa który usiłował wwieźć do Polski 6 000 złotych bez zapłaconia cła, a w rezultacie znalazł się w sądzie, gdzie zapadł wyrok skazujący, został relegowany z uczelni (bo jak prawnikiem mógłby być człowiek karany); jeden z dyrektorów dużego zakładu pracy chciał przebiegłe — jak mu się zdawało — prześledzić do Węgier 500 zł, ale wpadł przy kontroli celnej i zanim wrócił z urlopu przestał być dyrektorem.

Trudna i odpowiedzialna jest praca celnika. Mówi o tym jeden z celników — Kazimierz Mola, zapytany przez reporterów, czy gdyby raz jeszcze wybierał zawód, zostałby celnikiem.

LEKTOR